Żółty bukiet — H. Walker

Od autora: Opowiadanie o charakterze małej satyry współczesnych elit i ich układów oraz kruchości natury ludzkiej.

Było ciepłe majowe popołudnie. Przed oknem kancelarii, na wewnętrznym dziedzińcu stała błyszcząca idealną czernią limuzyna. Prezentowała się wytwornie po rannej toalecie w myjni. Przednie drzwi po obu stronach auta były szeroko otwarte. Od strony kierowcy, w pewnej odległości stał wysoki barczysty mężczyzna w białej koszuli. Stał tyłem do okna. Prezydent patrzył na niego przez chwilę zza firanki gabinetu trzymając filiżankę kawy w prawej ręce. Koszula w słonecznym świetle odbijała blask promieni – niczym żarząca się śnieżnobiała kula. Nad nią, co jakiś czas lekko poruszała się inna, mniejsza i ciemniejsza kula, mocno wygolona – osadzona na grubym karku przypominającym solidny konar. Prezydent znał go dobrze, był to Max. Kierowca limuzyny i jeden z najbliższych ochraniarzy. Pracował także u jego poprzednika (rywala w ostatnich wyborach). Odchodząc od okna zauważył drugiego funkcjonariusza Secret Service zbliżającego się do auta. Odstawił filiżankę na spodek i stojąc nadal przy solidnym ciemnobrązowym dębowym biurku – spojrzał na zegarek. Była godzina 4:12 p.m. Należy tu dodać (dla jasności sytuacji), że prezydent był od samego rana dość spięty. Przejawem nerwowości *Głowy Państwa* była dzisiejsza mała sprzeczka „w cztery oczy" z *Pierwszą Damą* na temat wyboru krawata na dzisiejszy bankiet. Od zaprzysiężenia go na prezydenta mijało właśnie dziesięć miesięcy. Wiedział dobrze, że nadszedł nieubłagany czas na spłacanie przedwyborczych zobowiązań i finalizowanie partyjnych *dealów*. Oczywiście ma się rozumieć – nie chodzi tu o obietnice dane wyborcom. To banał. Chodzi o to, czego zwyczajny zjadacz chleba tostowego nie widzi i widzieć nie może. Pocieszał się jednak tym, że spotka dzisiaj na przyjęciu tego nowego prezesa Banku Centralnego, Johna Watsona. Bądź co bądź – przyłożył rękę do jego nominacji, chociaż nie był od nich. Musi koniecznie pogadać z nim, o protekcji dla jego córki do Banku Holmmon, by dostała szybko ten kredyt (rozgrzebana budowa pałacyku w Szwajcarii, ot takie tam). W ciągu ostatnich czterdziestu minut przez gabinet przemknęła jak meteor tylko małżonka, i prezydent nadal pozostawał sam. Przysiadł na sofie i zasnął. Nagle poczuł szarpnięcie; lekkie ale stanowcze. Rozespany otworzył oczy i ujrzał nachyloną nad nim okrągłą twarz sekretarza. W oddali zauważył stojących dwóch mężczyzn. Byli to: rzecznik prasowy i szef jego ochrony. Na prezydenckim cyferblacie Atlantica widniała 7:04 p.m.

— Panie prezydencie jesteśmy gotowi – wyszeptał sekretarz.

— Tak, tak Bill. Już się przebieram – zachryple wybełkotał zaskoczony prezydent.

— Jak samopoczucie Harry? – wyszczerzył zęby rzecznik.

— Aaa, coś mnie w krzyżu strzela. Starość – rzuciła od niechcenia *Głowa Państwa*.

Prezydent nie ufał do końca swojemu sekretarzowi, ale to on właśnie przeprowadził jego zwycięską kampanię wyborczą, i to Bill jako jedyny uratował mu tyłek w pewnej sprawie, która mogła położyć kres jego marzeniom o fotelu prezydenta. W głowie często powtarzał jak zdartą płytę: *„Co robić? Na układy nie ma rady!"*. Z kolei rzecznika nie cierpiał prywatnie jeszcze z czasów partyjnych, ale niestety został mu przysłany jako zaufany człowiek prezesa ich partii. W dodatku to kolega szkolny jego żony, który ostat-

nio bardzo spoufalił się wobec niej. Zaczynało go to coraz bardziej mierzić, i nie wiedział jak ma się zachować wobec tego pupila szefa. Nieustannie odkładał na później te prywatne dylematy. Z każdym tygodniem jego prezydentura nabierała szaleńczego tępa. Zaledwie pięć dni temu podpisał „Ustawę 447" (dwa miesiące wcześniej ustawę budżetową), był już na Bliskim Wschodzie, we Włoszech i w Brukseli; a za tydzień leci do Europy Wschodniej (obecnie to w większości już UE). Na dodatek wokół niego mnożą się przeróżni doradcy. Niewiadomo skąd? Trudno, trzeba będzie z tym żyć. Małżonka, której bardzo odpowiada funkcja *Pierwszej Damy* (jakby całe życie przygotowywała się do tej roli; z zawodu menedżerka w dużej sieci handlowej), często pocieszała go tymi słowy: *„Kochanie życie na Prozac-u jest o wiele lepsze niż na kacu. Zawsze masz przeczucie, że «jutro» jest jutro. Twoje «jutro»"*. No tak, żona się zna („cwana bestia"). Podobną opinię ma siostra Laura.

Przed wyjściem z gabinetu rozdzwoniły się telefony, to: szef CIA skarży się na utrudnianie im działań przez FBI; to Pentagon chce przedstawić prototyp bombowca kosmicznego (dłubany na spółkę z NASA), a generał Cox – gada coś o cyklicznym szkoleniu dla prezydentów w temacie „walizek z przyciskiem atomowym"; i wreszcie telefon z FBI, które skarży się zwyczajowo na CIA. Do gabinetu prezydenta nalazło się mrowie krawaciarzy w ciemnych garniturach i każdy coś radzi i tłumaczy biednemu Harremu. Prezydent ma dość, odświeżony i przebrany – myślami błądzi już o wieczornym bankiecie wyprawianym przez ludzi jakże wpływowych, a zarazem niebezpiecznych. To świat bankowości globalnej i nowojorska Wall Street. Ci to potrafią rządzić i dopiąć swego zawsze. Nie mają senatu, nie mają policji ani wojska – a spróbuj z nimi zadrzeć. Na szczęście są po naszej stronie. Zresztą zawsze są po stronie rządzących, bez względu na wynik wyborów. Poranna nerwowość prezydenta pomału przeradza się w podniecenie wyczekiwania rautu i związanej z nim niespodzianki (obietnicy). Tak, jutro otrzyma coś na co sobie zasłużył. Dobrze wiedział, że prezydentura kiedyś się skończy (nie miał pewności co do drugiej kadencji), a później też trzeba jakoś żyć; sama „emerytura prezydencka", to trochę za mało. Żona za pracę już chyba się nie weźmie (prestiż już nie pozwala), dwoje dorosłych dzieci na dorobku i trójka wnucząt. A sam jest przecież najmłodszym prezydentem tego kraju. Z kolei zajmowanie się polityką przez następne dziesięć czy piętnaście lat przyprawiało go o mdłości. Sześciocyfrowe honorarium za „Ustawę 447" od lobby - nazwijmy je: „majątkowo-spadkowe", to *strzał w dziesiątkę*. Jeszcze kilka takich *przysług*, i można żyć spokojnie. Zawsze w polityce brakowało mu przebojowości i charyzmy, ale był zawsze lojalny wobec prezesów partii i sfer finansjery; to zaowocowało. Zresztą przy boku ma swoją żonę, która go wspiera (prawdziwa „lwica biznesu"). Ona zawsze potrafi pocieszyć, wytłumaczyć i zmotywować go do walki. A teraz *Pierwsza Dama* już nie odpuści – ma czego pragnęła („poczuła smak krwi"). Jej cechy przywódcze bardzo mu imponowały, ba – nawet mocno go podniecały, jednak czasami czuł się jak przysłowiowa „ryba w sieci". Tłumaczył sobie wówczas, że to jego wina – brak mu zawsze zdecydowania i konsekwencji. Poza tym, dobrze wiedział, że jego kariera polityczna w partii rozpoczęła się z chwilą ich małżeństwa. Więc, jutro jest to „jutro" – kiedy będzie pierwsza nagroda. Dodatkowo intrygowała go „premia", którą miło być członkostwo w jakimś elitarnym i nieoficjalnym klubie czy stowarzyszeniu. Harry tego pragnie, musi ...

— Wiesz kochanie, dziś popołudniu, kiedy zdrzemnąłem się w gabinecie, miałem dziwny sen.

— Tak? Co takiego ci się śniło?

— Nie wiem dokładnie. Jakieś głupoty.

— Nooo, mów zanim dojedziemy – irytowała się *Pierwsza Dama*.

— Śniło mi się, że najpierw gdzieś unoszę się w powietrzu, wyobraź sobie – cały nagi. Chyba nad jakimś lasem to było... A potem zaczynam spadać w dół w jakąś otchłań. Skały po bokach. Tak, to był jakiś kanion. Później byłem w mieszkaniu moich rodziców, byli tam różni ludzie. Ty też tam chyba byłaś i dwie pielęgniarki. Wszyscy jedli indyka. A na koniec kąpałem się w jakimś stawie. Pamiętam, że była brudna woda. Wszędzie muł, a na wodzie unosiły się jakieś żółte kwiatki w kształcie dzwonków? Żonkile? Było ich pełno na cały stawie ... A później obudził mnie Bill.

— Jutro umówię się z Kate na seans Tarota.

— Kate Kozlowsky? Oszalałaś! To wróżka! – Harry aż podskoczył na kanapie limuzyny.

— Nie «wróżka» kochanie, tylko jasnowidz i bioenergoterapeutka. A na dodatek to znana pisarka ezoteryczna ruchu New Age.

— Daj spokój, należymy do kościoła Baptystów. Jakby się o tym dowiedział wielebny Bryan Johnson, to dopiero by się narobiło! A w przyszły czwartek lecę do Europy Wschodniej, do krajów chrześcijańskich. Doradcy mnie uprzedzali. Muszę dbać o wizerunek.

— Uspokój się, Kate jest Metodystką. Teraz skup się i powtórz przemówienie, które ci pomogłam ułożyć.

— Tak, szkoda, że Kate nie jest jeszcze *Rycerzem Jedi* – rzucił sarkastycznie.

— Mów ... nie denerwuj mnie.

Godzina 9:14 p.m. Kolumna prezydencka zatrzymała się przed olbrzymią rezydencją stylizowana na szesnastowieczną twierdzę frankijską, należącą nieoficjalnie do zarządu Banku Centralnego. Imponująca. Gdyby nie fakt, z jesteśmy w Stanach, można by uznać ją za historyczną budowlę, utrzymaną w dobrym stanie (po licznych renowacjach). Limuzyna z *Numerem Jeden* niemal idealnie zatrzymała się vis a vis olbrzymiej bramy zamczyska z otwartymi na oścież stalowymi wrotami z czarnej stali. Wysokie grube mury w kolorze jasnego pisaku rozciągały się majestatycznie wokoło, a nad nimi górowały dwie okazałe wieże. Jedna okrągła zakończona stożkiem, a druga kanciasta z zębatymi kikutami na kształt królewskiej korony. Obie wieże posiadały w swych górnych partiach – maleńkie i wąskie okienka, również zakończone szpicem. Z chwilą przybycia orszaku, w bramie pojawili się gospodarze bankietu. Trzech jegomości w czarnych garniturach i dobrze dobranych krawatach; tak na oko – między 60 a 70 lat (jeden z zaawansowaną łysiną i dwóch siwiusienkich). Widać jednak, że pełni wigoru i charyzmy oraz rzecz jasna – nabytej przez lata bufonady. Prezesostwo znaczy. Gdy para prezydencka zbliżyła się do bramy, wszyscy ruszyli w stronę gości. Witali się serdecznie, niczym najlepsi przyjaciele (uśmiechy, potrząsania prawicą, kładzenie ręki na barku i plecach, nachylanie się do ucha rozmówcy – oczywiście z wyłączeniem *Pierwszej Damy*). Nie trzeba chyba specjalnie opisywać, co działo się wokół rezydencji. Wszędzie rozsiani mundurowi na swoich posterunkach (policja stanowa); ludzie z Secret Service, którzy bez przerwy gdzieś się przemieszczali – w ciemnych okularach i ze słuchawkami w uszach; i kilku prywatnych ochraniarzy w kamizelkach kuloodpornych. Do tego trochę gapiów w sektorach odgrodzonych taśmą i trzy wozy telewizyjne ze specami od wiadomości.

Na dziedzińcu rezydencji–zamku zgromadził się już dwór osobistości wszelakich, ale oczywista sprawa że z kręgów zaufanych; tu nie mogło być przypadków. Prezydenta uderzyła jasność jaka tu panowała. Nie

było to słońce, a reflektory i przeróżne lampy duże i małe (wiszące i stojące) rozstawione gdzie się da. Kiedy Harry podchodził to tej dość licznej grupy wybrańców, jego uwagę przykuł bruk tego „mini ryneczku" – wyłożony dużymi kwadratowymi płytami (chyba granit?) w różnych odcieniach szarości. Co jakiś czas ukazywały się ornamenty – trójkąty i słońca w czarnym kamieniu. Nie wiedzieć czemu prezydentowi przypomniała się nagle Kate. Nigdy za nią nie przepadał. Jednak ta myśl natychmiast uleciała z powodu lekkiego bólu. Poczuł ściśnięcie palców prawej dłoni przez uścisk żony (regularnie grywała w tenisa). Przez ułamek sekundy ich spojrzenia spotkały się. Tłum otoczył *Głowę Państwa*. Niewiadomo skąd pojawili się fotoreporterzy i zaczęto ustawiać całe towarzystwo do pamiątkowych fotek. Blichtr i teatr hipokryzji.

Przy długich i nakrytych stołach, w olbrzymiej sali urządzonej również na modłę średniowiecznej komnaty (wszędzie stojące repliki rycerskich zbroi; a na kamiennych ścianach: miecze, tarcze, halabardy, etc.), zwanej ponoć: *Salą Rycerską* – panował lekki harmider. Goście sadowili się na wyznaczonych miejscach (według wizytówek) i rozmawiali ze sobą. Dalej się poklepywali, dowcipkowali i stroszyli piórka. Nasz Harry już miał usiąść na swoim miejscu (jednym z przednich przy gospodarzach – prezesach), gdy dostrzegł przy ścianie ozdobionej dwoma halabardami – Jeffrey'a Zickermana, który właśnie wpatrywał się w niego. Był to, nie kto inny jak eks-prezes Banku Centralnego, którego nie wybrano na nową kadencję. Prezydent poczuł dziwny ucisk w żołądku. Gwałtownie się wyprostował i patrząc w oczy Jeffrey'a – zrobił dwa kroki w jego stronę. Tamten ani drgnął, chociaż stał bardzo bliski stołu biesiadnego. Harry odruchowo zatrzymał się, a następnie zrobił jeszcze kilka kroków i dotarł do obserwatora. Dopiero wówczas eks-prezes odsunął się od ściany z żelastwem, wyprostował się i ze sztucznym uśmiechem (tak zwanym „dyplomatycznym", czy jak niektórzy wolą „biznesowym") – podał mu rękę. Uścisk Jaffrey'a był słaby i krótki. Znowu spojrzeli sobie w oczy, ale szybko i płytko. Wymienili kilka kurtuazyjnych zwrotów typu: *„Co słychać? Jak prezydentura? Co tam u prezesa? A jak tam Giełda? Jak nastroje naszych wilków z Wall Street?"*. Pierwsza Dama już namierzyła swojego męża. Siedząc za stołem miała dobry punkt penetracji terenu. Od razu zauważyła, że coś jest nie tak (kobieca intuicja). W oczach żony analiza była taka: Harry jak zwykle mizdrzy się przed bankierami, nawet może ciut za bardzo (sama w sypialni nazywała ich przed mężem: „banksterami"); a tamten stoi z lewą ręką w kieszeni spodni i odpowiada półgębkiem, sztucznie marszcząc facjatę i rozglądając się na boki (jakby gardził rozmówcą). Słów w tym hałasie dookoła nie słyszała, ale po mowie ciała widziała niechęć bankiera. Znała trochę Jeffrey'a i wiedziała, że to jeden z tych ludzi, z którymi należy zawsze się liczyć; jednak nie znała najnowszych *news* z sektora finansowego; poza tym tylko, że jest nowy prezes BC. Rozpoczął się bankiet. Uderzono trzy razy pałką w wielki mosiężny talerz zawieszony na łańcuchu pod jednym z łuków sali. Zapanowała cisza. Nagle pod wielkimi strzelistymi oknami – rozległy się pierwsze głośne akordy allegro: *Eine Kleine Nachtmusik* Mozarta. Wszyscy dopiero teraz zauważyli muzyków, którzy ściśnięci ze sobą w jedną bryłę - zaatakowali swoim orężem. Była to orkiestra symfoniczna składająca się z samych azjatów, włącznie z dyrygentem. Po tym krótkim przywitaniu głos zabrał jeden z gospodarzy. Prezes Mark Lewis (ten łysiejący) zaczął od oklepanych opowieści o Nowym Świecie, który zbudowano tutaj w oparciu o ideały wolności, równości i braterstwa; później szybko jednak przeszedł do wychwalania sektora bankowego i poszczególnych bankierów z nazwiska („każda pliszka..."); no i oczywiście uwzględniono naszego Harrego, jego zasługi dla wspierania biznesu - „brata" dla systemu bankowości. Zresztą pierwsza praca po studiach naszego prezydenta była właśnie w banku. Następnie wzniesiono toast szampanem na stojąco za wszystkich tu zebranych, i życzono sobie wzajemnie sukcesów (jakich? niewiadomo). Z chwilą gdy goście usiedli na salę wjechało przednie jadło. Między przepiórkami z faszerowanymi szpinakiem pieczarkami, a polędwicą w sosie ananasowym – poinformowano prezydenta, że za półgodziny (przy kawie i deserze na zimno), zostanie poproszony o przemówienie. Harry przełknął nerwowo kawałek pieczeni, a *Pierwsza Dama* położyła mu dyskretnie rękę na udzie pod stołem. Będzie dobrze. Dokładnie o godzinie 10:00 p.m.

– *Głowa Państwa* zajęła miejsce za mównicą. Prezydent wykrzesał z siebie niesamowite pokłady radości, uniesienia i patosu - dziękował, opowiadał i znowu dziękował (miód, miód, miód). Zebranym najwidoczniej podobało się bardzo, bo radośnie co jakiś czas przerywali prelegentowi lawiną oklasków. Małżonka i współautorka tej mowy - też była usatysfakcjonowana. Po dwudziestu pięciu minutach przemowy rozległy się kolejne brawa, tym razem końcowe; a po nich orkiestra przypomniał o sobie Wagnerem. Kiedy prezydent doszedł do stołu – podeszły do niego dwie blondynki o nienagannych figurach i wręczyły mu dwa bukiety. Pierwszy to wielka kula czerwonych przepięknych róż, które Harry od razu wręczył małżonce. Jednak kolejny bukiet (o wiele mniejszy i skromniejszy), który mu wręczono wprawił go w osłupienie. Niemożliwe, to kwiaty z dzisiejszego snu. Usiadł. Nagle dostrzegł wśród żółtych płatków coś białego. Oddał stojącemu obok sekretarzowi te dziwne kwiaty i otworzył kopertę; a w niej sztywny blankiet koloru jasnej wanilii składany na pół. Czarne zamaszyste litery wywołały u niego dreszcze po całym ciele, poczuł jak skronie mu pulsują. Wiadomość brzmiała: *„Postawiłeś na złego konia. Nie będzie jutro nagrody, będzie kara. Nie masz już bankiera. Pozdrowienia dla żony”*. Drżącą ręką Harry sięgnął po kieliszek białego wina, suchość w gardle zaczynał sprawiać mu ból. Nie może uwierzyć. Bankiet, który miał rozpocząć świetlaną przyszłość i wymarzoną stabilizację finansową Harrego, nagle przemienia się w jakiś grząski i mroczny teren bagienny. Ciemny, wilgotny i cuchnący pejzaż pojawił się w jego wybałuszonych oczach (*„Kto to napisał?! Kto?!”*). Trzymając w dłoni zmięty tajemniczy blankiet, który wyciągnął z tego przeklętego bukietu późnowiosennych żonkili – czyta zdawkowo ohydne słowa i rozgląda się po sali; przypomina sobie, że „jutro” jest już jutro, nad którym nikt już nie panuje. Osłupiały spogląda w tłum ludzi zajętych sobą, jakby szukał pomocy u tych na których tak liczył. W oddali widzi bankiera Johna Watsona, który rozmawia z jakąś kobietą i w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Wtem z nad przeciwka dostrzega siedzącego Jeffrey’a, który patrzy na niego z szelmowskim uśmieszkiem i podnosi kieliszek szampana, wyraźnie chcąc wznieść toast.

Tu Harry przerwał swoje opowiadanie, wyprostował się, poprawił pasiasty szlafrok i wyczekującym wzrokiem obserwował pielęgniarkę, która właśnie zmierzała w ich kierunku. Była to młoda dziewczyna, świeżo po szkole pielęgniarskiej i właśnie kończyła swój dyżur z nadgodzinami. Z promieniującym uśmiechem i zmysłowym głosem poprosiła pacjentów zebranych w świetlicy, aby zechcieli już kończyć swoje „gry i zabawy” (brydż, warcaby, *Chińczyk*, *Monopol*), zbliża się przecież pora obiadu. Harremu bardzo podobała się ta pielęgniarka (jakiż kontrast wobec *Siostry Oddziałowej*). Chętnie by z nią znowu porozmawiał, zabawił się w swoją ulubioną *grę słów* (mały flircik, wynurzenia o Freudzie, i takie tam); jednak obiad to „rzecz święta”. A tu, jak zwykle odezwała się grupa malkontentów (wiernych słuchaczy pacjenta Harrego), że muszą dokończyć wysłuchania ostatniego snu jaki im właśnie opowiada ich kolega. Sprawa niezmiernie ważna jak zapewniali. Jeden z pacjentów (Joe, emerytowany listonosz) stwierdził nawet z oburzeniem: *„Przecież to sprawa wagi państwowej!”*. Siostra z niegasnącym uśmiechem na twarzy i pokorą w sercu wysłuchała wszystkich zażaleń, a następnie bezlitośnie użyła jedynej skutecznej broni jaką posiadała. Oświadczyła, że za półgodziny przychodzi na dyżur siostra Laura (znaczy *Siostra Oddziałowa*), i będzie bardzo niezadowolona z nieprzestrzegania rozkładu dnia na oddziale. Zapanował konsternacja. Pacjenci z dłuższym stażem wiedzieli dobrze co to za persona. I jeden po drugim powoli podnosili się ze stołków i z posadzki – zabierali swoje rzeczy (szlafroki, plansze do gier, okulary, książki), i cichutko wychodzili na korytarz. Tylko nieliczni pacjenci chichotali pod nosem, ale to *żółtodzioby* (tydzień lub dwa dopiero w szpitalu; co tu wymagać?). Siostrze chyba zrobiło się trochę przykro amatorów „sennych opowieści” (jak i samego Harrego, który wychodził ze zwieszoną głową); więc zaczęła ich zapewniać, że siostra Laura na pewno pozwoli im wysłuchać dalszego ciągu po zajęciach popołudniowych, przed kolacją. Pobudzony Joe syknął w progu do innego kolegi: *„Czekaj tatka latka!”*. Tak, te wszystkie opowieści Harrego (sny, historie „autentyczne” z jego życia lub streszczenia przeczytanych rzekomo przez niego książek) cieszyły się wielkim powodzeniem na oddziale psychiatrycznym tego stanowego szpitala. Nie

tylko wielu pacjentów raczyło się nimi od ponad dwóch lat, ale nawet personel tej placówki (pielęgniarki, sanitariusze, lekarze, psycholodzy i oczywiście niższy personel gospodarczy). Jeśli chodzi o psychiatrów – zdania były podzielone, jedni pochwalali gawędy Harrego (czynnik terapeutyczny dla niego samego i innych pacjentów); inni z kolei byli przeciwni. Obawiano się pobudzania nerwowego chorych lub zwykłego ich straszenia. Jednak opowieści trwały. Była to taka swoista *tajemnica poliszynela* tego ośrodka. Sam Harry – był ciekawym osobnikiem, kiedyś agent ubezpieczeniowy i sprzedawca używanych aut, później domokrążca (tani sprzęt kuchenny), a na końcu bezrobotny i alkoholik. Trzy lata temu rozpoznano u niego psychozę maniakalno-depresyjną, nerwicę wegetatywną i mitomanię. Dzięki swoim historyjkom i snom był znany w całym szpitalu; nadawano mu też różne przydomki: *Gawędziarz, Pisarz, Poeta, Prezes, Prezydent*. Ten ostatni pseudonim był związany z jego najczęstszą skłonnością wywodów na temat władzy w państwie i roli prezydenta. Zresztą sam nosił się wytwornie po szpitalu: czysta pidżama (często zmieniana, przywożona przez żonę) i zarzucony szlafrok na ramiona, do tego zawsze ogolony, wyperfumowany dobrą wodą toaletową i z nienaganną fryzurą zaczesywaną do tyłu (czarne gęste włosy, bez siwizny). Wysoki i szczupły, mógł więc przypominać archetyp dyplomaty, gdyby tylko ubrać go jeszcze w garnitur i krawat. Właśnie miesiąc temu skończył czterdzieści sześć lat.

Około 3:15 p.m. zazgrzytał zamek w drzwiach głównych oddziału. Drzwi otworzyły się z impetem, a w progu pojawiła się długa sylwetka kobiety w białym kitlu i czepku pielęgniarskim. Dostojna i nienaganna. Zgadza się, to *Siostra Oddziałowa* – postrach pacjentów i stażystów. Starsi stażem pacjenci nazywali ją *Bankierem*, gdyż trzymała w depozycie ich kieszonkowe, i wypłacała, gdy zaistniała konkretna i uzasadniona potrzeba. Po świetlicy przebiegły szepty: *„Idzie, idzie”*. Podopieczni siedzieli już gotowi do zajęć terapeutycznych, jedni niezadowoleni, inni lekko pobudzeni. Wszyscy stanowili wspaniały krąg z krzeseł, niczym członkowie tajnego stowarzyszenia. Tylko dwa krzesła były wolne. Jedno oczywiście czekało na siostrę Laurę, drugie zaś przeznaczone było dla nowej pani ordynator, która dziś trochę się spóźniała. Nowa lekarka – doktor Catherine Kozil (Latynoska); nazywana przez wszystkich po prostu: „doktor Kate”. W chwili, gdy siostra Laura zbliżała się korytarzem do swojego oszklonego *centrum dowodzenia*, z sali wyszedł nasz Harry, i poprawiając szlafrok - oświadczył, że zdąży jeszcze skorzystać z toalety. Po prawej stronie ujrzał plecy *Siostry Oddziałowej*, a po lewej idącego za nią portiera i ochraniarza w jednym. Max, bo tak mu było na imię – niósł za siostrą pękate toboły z nowymi ręcznikami szpitalnymi. Kiedy mężczyźni spojrzeli na siebie, przywitali się głośno. W tym momencie siostra Laura odwróciła się i z uśmiechem również pozdrowiła naszego bohatera. Harry odruchowo odpowiedział *Siostrze Oddziałowej*, i nagle jego uwagę przykuło to, co trzymała w swych rękach. Jak zahipnotyzowany zaczął zbliżać się powoli do pielęgniarki. Gdy podszedł do niej na około dwa metry – zatrzymał się, mając cały czas wlepiony wzrok w coś, co wywołało w nim wielkie poruszenie; otworzył szeroko usta i zamarł bez ruchu. Trwało to może niecałe pół minuty. Wtem, jak nie wrzaśnie z całych sił: *„Nie! Nie Jeffrey!”*. Siostra Laura z wrażenia opuściła na dół trzymany w rękach bukiet późnowiosennych żonkili, a spośród żółtych kwiatów wysunął się kartonik, na którym widniał zapis między innymi o pacjencie Harrym. Blankiecik był zapowiedzią jutrzejszej rozmowy (wywiadu) doktor Kate z naszym oddziałowym *Prezydentem* na temat możliwości jego wyjścia i powrotu do domu i żony. Harry wiedział o tym od kilku dni i nie mógł się doczekać spotkania w gabinecie ordynator. Teraz biedak czyta zdawkowo zapisane słowa na tajemniczym blankiecie, który wylądował u jego stóp, rozgląda się po korytarzu i przypomina sobie, że „jutro” jest już jutro, nad którym nikt już nie panuje.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

H. Walker, dodano 09.10.2018 10:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.